

RODZINA

PISMO POŚWIĘCONE WYCHOWANIU I NAUCE DOMOWEJ.

Numer 27

Czwartek, dnia 17-go grudnia

Rok 1914

Gołębie św. Marka.

Na lagunach zapanowała sroga zima. Królowa Adryatyku ubrała się w błyszczące brylanty, w jakich już dawno nikt jej nie widział. Płytsze wody zamarzały nocą, co sprawiało niewymowną radość dzieciom gondolierów. Nie tak jednak myśleli ojcowie. Turyści uciekli z miasta, zarobku nie było. Mieszkańcy unikali wody i woleli suchą, choć dłuższą drogą zdążyć do celu. Tak srogiej zimy nie pamiętali najstarsi Wenecjanie. Siedzieli w zamkniętych izbach bez pieców, nikt nie kupował. Najwięcej cierpiało ubóstwo. Nawet w ciemnym zaułku miasta nie można było po jałmużnę ręki wyciągnąć. Chude, wybladłe postacie przesuwwały się jak cienie po pustych uliczkach, a nie było do kogo wyjąknąć: „Ho fame!” (Jestem głodny!).

Jeszcze gorzej powodziło się biednym gołębiom, których stada zalegają zwykle plac św. Marka. W mieście, które ma tylko marmur, granit i wodę, trudno jest o pożywienie dla tych ulubieńców świętego Ewangelisty nawet w cieplej porze roku, coś dopiero w zimie tak wyjątkowej, która właśnie srożyła się na całym Adryatyku. Tumany śniegu zasłaniały litościwe okna, w których czasem mogła się ukazać ręka ludzka z okruciami śniadania. Gruba powłoka lodu pokrywała granitowe i marmurowe chodniki, na które bawiające się dziecko rozsypało czasem swoje łakocie. Na placu św. Marka nie było owych szeregów licznych stołów i stolików, przy których zwykli siadywać turyści pijący kawę lub czekoladę. Żaden z nich nie mógł wtedy się oprzeć natarczywej prośbie głodnego gołębia, który jak pies domowy, póty siedział u stóp jego lub na stoliku, przeglądał się w smacznej czekoladzie, póki szczęśliwy bogacz nie rzucił biednemu Łazarzowi jakiej okruszyny. Wszystko to znikło, plac św. Marka był pusty jak Sahara, nigdzie ani kawałka chleba. Z bizantyńskich ozdóbek kościoła patrzyły biedne gołębie smutno na wymarłą Wenecję, i zdawało się, że tak zamarzną i skamienieją. Od czasu do czasu zmówiło się kilkunastu, i odleciały gdzieś na drugą stronę wielkiego kanału. Wezwowało je tam błogie wspomnienie ludzkiego miłosierdzia. Tam, w owym szarym pałacu otwierało się zazwyczaj o tej godzinie wysokie okno, i biała ręka bladej kobiety rzucała im okruszki obiadu. Tam znowu, na tym wysoku małej facyatki ukazywała się kędzierzawa głowa małej dziewczynki, podobnej do aniołka Rafaela. Dziewczynka miała obie dłonie pełne pszenicy

lub kukurydzy, na które rzucali się z piskiem radości biedne gołębie. Przy moście Rialto otwierał biedny krawiec o jednej i tej samej godzinie okienko swego poddasza, i zawsze na tem okienku znalazło się coś dla gołębi.

Takich miłosiernych ludzi było wielu w mieście, i taką tylko jałmużną żyły biedne ptaki, które ongi, jak niesie tradycja, miały z dalekich mórz przynieść do miasta pierwszą wiadomość o zwycięstwie weneckiego oręża.

Dzisiaj wszystko to ustało. Place i ulice były puste, wszystkie okna zamknięte. Zdawało się, że w tak srogiej zimie serca ludzkie zamarzły i o biednym proletaryacie niebieskim zapomnieli. Naprawdę przypominał on sobie wszystkie te okna miłosierne, które o pewnych godzinach z jałmużną się otwierały, naprzódno leciał z jednej ulicy na drugą — wszędzie naprzódno, wszystko zamknięte. Ktoby mógł zajrzeć do kopuły św. Marka, lub w szczeliny dumnych, choć pustką stojących pałaców królowej morza, mógłby tam zobaczyć nie jeden dramat rozdzierający serce ludzkie. Tem leży na pół zmarzła gołębicą, a biedny towarzysz jej życia naprzódno ogrzewa ją i niby opowiada o przysmakach, które na nich czekają, jeżeli się podnieśnie i z nim na drugą stronę kanału poeci... tu wychudła matka zwodzi umierające z głodu pisklęta, rzucając im w otwarte dzióbki brytki lodu!...

Niemniej straszną była nędza ludzka. Oto w suterenie pustego pałacu leży na brudnym barłogu młoda kobieta. Oczy ma czarne i duże, palące się gorączką. Włos kruczy rozrzucony po całej poduszce, wychudła ręce gorączkowo chwytają lachmany, którymi usiłuje się nakryć. Przy niej siedzi w średnim wieku gondolier i załamane ręce opiera o kolana. W izbie pusto, na kominie tylko popiół zimny. Wilgotne, zimne powietrze napelnia izbę.

— Beppa — zapytał gondolier — jak ci jest?

— Nie wiem — odpowiedziała kobieta. — Raz jest mi dobrze, drugi raz bardzo źle. Raz zdaje mi się, że widzę niebo otwarte i że wchodzę do niego. Jest mi tak ciepło jak w lipcu, a słonko Boże grzeje aż miło!... Drugi raz znowu zamiast nieba widzę urwisko z lodu i śniegu, i zdaje mi się, że oddech mój marznie, a serce lodowacieje. Podaj mi rękę Marco.

Szorstka dłoń gondoliera spoczęła na czole młodej kobiety.

— Masz gorączkę, Beppa!

— Być może, bo mam wielkie pragnienie.

— Może się napijesz wody.

— Pachnie mi jakaś zupa...

Marco nic nie odpowiedział, tylko zmarszczył czoło, zacisnął ręce i oczy w ziemię spuścił...

— Przeklęty Framontano, żadnego nie ma forestiera. Od gondoli przyprószonej śniegiem wszyscy uciekają — zawołał półgłosem, niby do myśli swojej.

Kobieta nic nie odpowiedziała, tylko ciężko westchnęła. Nastąpiła głucha cisza. Za oknem było słychać zimny plusk wody, który drieszczem przejmował. Przywiązana do słupa gondola uderzała ustawicznie pierś o marmurowe schody, po których niegdyś dumnie śpali dożowie Wenecji. Dzisiaj wiatr tylko północny huczy po pustym pałacu, a potłuczone szwy brzęczą jak duchy pokutujące. Zimno, straszne zimno było w izdebce, a z granitowej posadzki i od ścian marmurowych dinuchał mróz przenikliwy.

— Czemu się nie nakryjesz? — ozwał się po chwili Marco i zdjął z siebie wełniany kaftanik, jedyną odzież, jaką miał na koszu.

Kobieta spojrzała przez łzy na niego, ale nic nie wyrzekła. Zabrakło jej sił.

— Gdzie Pietro? — zapytała z cicha po chwili.

— Poszedł po miłosierdzie Boże.

Silny plusk fali uderzył teraz o szyby okienka. Fala wznosiła się coraz wyżej, coraz głośniejsze było pluskanie.

— Ecco padre! — zawołał głos za oknem.

Marco wybiegł i wiosłem przytrzymał gondolę, która właśnie przybiła do schodów pałacu. Z gondoli wybiegł najprzód mały, kędzierzawy chłopczyzna. Był na pół nagi, ręce i nogi miał sine, ale twarz rumiana uśmiechała się z wielkiego szczęścia; w ręku trzymał kapelusz pełny jakichś skorupiaków. Wpadł do izdebki i krzyknął:

— Madre, madre! il signor Dottore.

Do izby wprowadził teraz Marco szpakowatego mężczyznę w grubym płaszczu z lisim kołnierzem.

— Carissimo signore! — zawołał wzruszony gondolier — niech ci Bóg zapłaci za litość twoją. Nic ci nie dam, bo nie mam ani palanki, ale Bóg ci wynagrodzi. Beppa moja chora od tygodnia.

Doktor wziął kobietę za rękę i liczył tętna. Spojrzał smutno po pustych ścianach.

— Choroba głodowa — rzekł po chwili.

Nie chciał powiedzieć wyraźniej, że tyfus. Załamał ręce Marco, w oczach stanęły mu łzy.

— Cóż na tę chorobę poradzę? — zawołał w rozpaczy — ja sam już drugi dzień nie jadłem.

— Mam ślinaki — zawołał chłopiec, podnosząc kapelusz do góry.

Doktor pokręcił głową.

— To nie dla chorej, dla niej potrzeba rosółu z kurczęcia.

— Z kurczęcia! — rozśmiał się Marco — skąd go wziąć? Żydzi mieli przepiórki na puszczy, a tu nad słoną wodą larają tylko mewy.

I zaczął płakać.

— Bóg jest miłosierny — ozwał się doktor — i nie wszyscy ludzie mają serca z kamienia. Addio!

Rzekłszy to wybiegł szybko z wilgotnej ciemnej izdebki, a za nim podążył na wpół nagi chłopiec, aby go przewieźć na drugą stronę kanału.

W izdebce została chora kobieta i jej mąż niepokieszony. Moralna sentencja doktora nie nasyciła ich.

Długo panowała głęboka cisza w izdebce; słychać było krótki oddech chorej kobiety i głębokie westchnienia biednego gondoliera.

Z pluskiem fali zaleciały teraz do małego okienka jakieś dźwięki strun stalowych. Powoli rosły te dźwięki w akkordy, a wkrótce słychać było melodię weneckiej piosenki:

„Andemo in gondola a respirar.”

Marco podniósł się z ławy i otworzył drzwi. Do izdebki wszedł teraz bardzo biednie ubrany mężczyzna z blaszaną gitarą w ręku. Twarz jego była dawniej nawet ładną, postawa okazałą. Dzisiaj trąd miedziany osiadł na nosie, gęsta broda pobiełała, a barki pochyliły się.

— Stryjaszka przywiozłem — zawołał chłopiec. — Czy słyszysz matko? Stryjaszek tak dzielnie śpiewał przed hotelem „Povera amara”, że aż dwa okna na raz się otworzyły.

— Zarobiłeś co? — zapytał Marco.

— Nędzne dwa palanki!

Marco przełknął. Za dwie palanki byłby spory kawał polenty.

— Przyszła mi myśl społeczna do głowy — ozwał się po chwili zacy stryjaszek; chciałbym, aby tę sprawę w parlamencie poruszono. Słuchaj Marco. Napisy: Vendita a la minuta, powinny być wzbronione, a w magazynach powinni tylko fiaschi sprzedawać. Nimby człowiek na jedną butelkę palanków nabierał, możeby się inaczej namyślił... a możeby się w tych palankach tak rozkochał, żeby je na kapitał zatrzymał. A tak, człowiek wstąpił pod Merkura, i palanki dyabli wzięli!

Zacy stryjaszek stanął teraz w postawie bohatera Fra Diavola, a wzięwszy kilka akkordów na blaszanej gitarze, zaśpiewał ochrypłym głosem:

„Złoto jest to marna złuda...”

Chora kobieta gorączkowem okiem patrzyła na biednego podpitego śpiewaka, Marco smutno patrzył w ziemię, tylko na wpół nagi Pietro zaczął skakać z radości.

— Ojciec nam nieraz mówił — zawołał po chwili — że stryjaszek, gdy był młody, ubierał się w kapelusz z czerwonymi piórami i śpiewał w teatrze.

— Nietylko w kapeluszu z piórami — odparł improwizowany Fra Diavolo — ale nawet w koronie na głowie chodziłem po scenie! Hej mocny Boże, gdzie się te czasy podziały? Tysiące serc kobiecych liły do mnie, a czarne ich oczy strzelały jak dynamitem! Byłem pierwszym kochankiem i tenorem di forza trupy Pipifera. Przejechaliśmy wzdłuż całe Włochy, a na furę nie zabratyś tych wieńców i bukietów, które mi ofiarowano!

W samej rzeczy signor Angelo był niegdyś tenorem, zbierał oklaski i wieńce. Niestara fortuna, a może i własne winy, odebrały mu głos — dzisiaj jest żebrakiem i ochrypłym tenorem — śpiewa przed hotelami.

Marco patrzył smutno na niego. Ulubiony tenor trupy Pipifera stał dzisiaj w łachmanach z nosem czerwonym i brząkał po strunach gitary. Zostały mu tylko ruchy bohaterskie, którymi pomagał sobie, gdy mu wyższych tonów zabrakło. Po chwili zaprzestał roli i zwrócił się do Marca.

— Miałem w ręku złoty interes — rzekł do niego, ale fatum, ów zły bóg starożytności prześladowa mnie zawsze. Pewny Sycyliczyk miał trzy białe myszy, które różne sztuki pokazywały. Przy tych sztukach miałem śpiewać i grać na gitarze. Wyobraź sobie, dyabli przynieśli Anglika z buldogiem. Buldog rzucił się na artystki i połknął jedną po drugiej. Wprawdzie zapłacił Anglik suto za takie morderstwo bez wyroku,

ale Sycylijczyk przestał być impressariem. Kupił sobie piecyk żelazny, maki i sadła i sprzedaje teraz fritture di Palermo.

Na wspomnienie „fritury” przeknuął znowu Marco, a za nim Pietro.

— Ciebie czasem coś prześladowe — ozwał się Marco — a mnie zawsze. Powiadają, że szczęście nie jest przywilejem bogatych, ale to pewnie dawniej tak było. O! dzisiaj na przykład, gdyby moja Beppa miała łyżkę rosółu, to byłaby zdrowa, a tak, może popłynąć na wyspę Sw. Michała.

— Jeżeli tak, to popłynę z nią i na grobie zaśpiwam jej Salve Regina. Daję to co mam. Chyba, że co ukradnę.

Marco spojrział z pogardą na swego starszego brata, który dawniej szlachetniejszy miał zawód od niego, a dzisiaj upadł tak nisko.

W tej chwili zabrzękała głośno szyba. Na oknie siedział siwy gołąb i gruby dziób podniósł do góry, aby po raz drugi w szybę uderzyć.

— Szymek! Szymek! — zawołał Pietro, klaszcząc w ręce.

Był to dobry znajomy biednej rodziny. Przylatywał codziennie o pewnej godzinie do okna, gdzie zawsze były dla niego okruchy chleba lub polenty. Nazywano go Szymkiem. Miał on także zawsze z sobą Szymonową. Był dla niej dobrym, bo odstępował jej większe kawałki i smaczniejsze kaski, a sam zjadał co się zostało.

Dzisiaj spóźnił się biedny Szymek i tylko sam przyleciał. Szymonowej nie było, zapewne chora z głodu, a może już nawet nie żyje. Beppa, która o nich pamiętała, od tygodnia leży w łóżku, a w ubogiej izdebce nie ma ani chleba, ani polenty.

Gołąb był natarczywy. Uderzał w szybę raz po raz, aż szkło jęczało.

— Otwórz okno — zawołał Marco — bo szybę wybije. Niech wnijdzie i zobaczy, że nic nie mamy dla niego.

(Dokończenie nastąpi.)

ROBAKI.

Ile to czasem mamy kłopotu z dziećmi chorującymi na robaki. Ile to nasłuchamy się rad rozmaitych i wskazówek jak się zachowywać należy i jakich pokarmów unikać, i jakie lekarstwa podawać. Powszechnem jest mniemanie, że te dzieci chorują na robaki, które jedzą za wiele słodczy. Tak jednakowoż nie jest.

Wielka jest różnorodność robaków i pasożytów, które obierają sobie organizm ludzki za siedlisko. Opisujemy najważniejsze tylko i najwięcej nam znane.

Robaki napotykamy tak samo u starszych, jak i u dzieci. Niektóre z nich nie przynoszą nam żadnej szkody, inne są dla zdrowia bardzo niebezpieczne. Niektóre z nich dostają się do żołądka i kiszek, do krwi i innych organów systemu ludzkiego, robiąc wielkie spustoszenia, a nawet zagrażając życiu ludzkiemu.

Nie zawsze, nawet doświadczony lekarz może stwierdzić, że powodem choroby tego lub owego pacyenta są robaki; tak skomplikowane pojawiają się nieraz symptomy, dopiero przez dłuższe obserwowanie, i skrupulatne badanie, dochodzi się do pewnego rezultatu.

Niedawno miałem pod swoją opieką 4 letnią dziewczynkę, która, na pozór, chorowała na silny katar płuc, połączony z jakimiś dolegliwościami żołądka. Za długo to jednak trwało, i dziwne przymiemy występowały objawy to gorączki przemijającej, szybko, to kurczowych bólów brzucha, to jakiegoś lęku i zrywania się we śnie. Kiedy tak razu pewnego, siedziałem przy łóżeczku śpiącego dziecka i obserwowałem jej twarzyczkę, spostrzegłem niepokojne ruchy głowy, piany trochę na ustach, wypieki itp. Zapytałem matkę, czy nie zauważyła kiedy robaków u dziecka. Na przeczącą odpowiedź, zaleciłem, ażeby pilnowała na przyszłość, gdyż zapiszę coś na robaki, a jeżeli się okażą, ażeby mnie powiedziano. Na drugi dzień ojciec przyniósł w szklance 3 duże glisty, z których jedna miała 8 cali długości! Dziecko rychło potem przyszło zupełnie do zdrowia.

Glisty takie, podobne są zupełnie do robaków, których tysiące widzimy w ziemi, i na chodnikach po deszczu. Dochodzą one czasem do 16 cali długości. Jajeczka tych robaków dostają się do kiszek z wodą, owocami lub też innem pożywieniem.

W kiszkiach wykluwają się robaki z jajeczek i pozostają tam aż do zupełnego dojrzenia. Ponieważ atoli tysiące takich jajeczek wydostaje się na zewnątrz wraz z wydzielinami, na szczęście więc nie wiele takich glist dojrzewa w kiszkiach.

Więcej dokuczliwymi są jak niteczki cienkie robaki, które gromadzą się w kłębach w dolnych kiszkiach u ujścia, i sprawiają nieznośne swędzenie. Jajeczka tych robaków dostają się do organizmu także z wodą, owocami, niegotowanymi jarzynami, a nawet z brudem rąk.

Matka może do pewnego stopnia zapobiedz robakom u dziecka, jeżeli uważać będzie na czystość. Woda podawana dzieciom do picia, powinna być czysta, jarzyny gotowane, lub przynajmniej dobrze obmyte i oczyszczone, a ręce i usta dziecka często myte.

Nic zresztą nie zaszkodzi dać dziecku od czasu do czasu jakiś środek niszczący robaki.

U starszych, dość często napotyka się tasiemca, który dostaje się do kiszek z wieprzowiną, wołowiną lub rybami w formie pęcherzyka, z którego po rozpuszczeniu się powłoki w żołądku, wydobywa się głowa tasiemca, i przyczepia się do ściany jelita. Po kilku miesiącach głowa ta wydłuża się, i zaczyna tworzyć segmenta (czyli częsteczki), które wyglądają jak złożona z kawałeczków wstążka, która o tyle tylko jest częścią pasożytu, o ile włosy lub paznokcie są częścią człowieka. Właściwy robak jest ta głowa, przyczepiona do kiszek, i dla tego tak bardzo zależy nam zawsze na tem, ażeby głowę tę wydobyć z organizmu.

Wbrew ogólnemu przekonaniu, tasiemiec nie jest niebezpieczny dla zdrowia, gdyż nie wysysa krwi swojego chlebobawcy, ale tylko dzieli się z nim pokarmem, jaki się do kiszek dostanie.

Swoją drogą, sprawia on pewne cierpienia, — choćby już dla tego tylko, że jest obcem i niepotrzebnym ciałem w organizmie, i działa na nerwy i wyobraźnię.

Jeżeli ktoś spostrzeże w odchodach obecność takiego intruza w swoim organizmie, nie dziwnego, że mu wielkiej nie robi przyjemności taki nieproszony lokator, i że świadomość o jego obecności

działa nam na nerwy, i rozmaite przykre wywołuje objawy.

Dlatego, też, skoro tylko przekonamy się o tem, że mamy tasiemca, należy go usunąć. Obecnie medycyna posiada pewne ku temu środki.

Więcej niebezpiecznemi dla naszego zdrowia są Trychiny, które dostają się do kiszek przez zjedzenie niezdrowej wieprzowiny. Taka trychina żyje w wieprzowym mięsie lata całe, a dostawszy się do ludzkich kiszek, przedobrywa się przez ściany tychże do mięśni i tam się usadawia. — Człowiek nawiedziony trychinami bardzo ciężko czasem choruje. Uczuwa ból gwałtowny w mięśniach (muskulach), który zupełnie przypomina reumatyzm, przyczem pojawia się gorączka, biegunka i opuchnięcie twarzy. Wiele wypadków przewlekłego bólu w krzyżach, lub mięśniowego reumatyzmu, nie są niczem innem, jak trychinami. Osler twierdzi, że jeden na 50 chorych na mięśniowy reumatyzm, choruje istotnie na trichinosis; Williams, przy pomiarnej dysekcji 500 ciał, znalazł trychiny w muskułach jednego na ośmnaście.

Chcąc się zabezpieczyć od trychinozy, należy mięso wieprzowe gotować. Wędzenie, solenie i peklowanie wieprzowiny nie zabijają trychin.

Jak powyżej wspomniano, te pasożyty i te robaki, które sobie żyją w jelitach, nie wiele czynią szkody dla ogólnego zdrowia, — niebezpiecznymi są te, które wydostają się do innych organów lub do krwi.

L e k a r z.

Polka w gospodarstwie.

Adam Smith powiada, że narody nie są bogatymi w stosunku posiadanych przez siebie szlachetnych kruszców, lecz w stosunku wytworzonych u siebie wartości. Na tej zasadzie powinniśmy być jednym z najbogatszych narodów, a wartość naszą stanowiłaby kobieta. Od pierwszego bowiem zawiązku społeczeństwa jest ona dzielną pomocnicą we wszystkich pracach i trudach nieźczyzny, a bodaj czy nie jednym z głównych czynników gospodarstwa społecznego. Na dobrem bowiem gospodarstwie domowym opiera się dobrobyt i zdrowie rodziny, społeczeństwo zaś składa się z rodzin, nad którymi czuwa kobieta.

Działanie jej składa się wprawdzie z drobnych i na pozór nie nie znaczących, a jednak koniecznych zajęć, — z mrówczej i drobiazgowej pracy, która potrzebując pewnej systematyczności i inteligencji, jeżeli zajmą te mają być właściwie spełniane i przynieść prawdziwą korzyść.

Dobrobyt bowiem, ład i porządek domowy zależy od rzadności gospodyni domu, a wiemy o tem, iż przynajwiększem bogactwie może się wkręcić niedostatek, jeżeli czujne oko matki rodziny nie zechce lub nie umie bacznie spojrzeć na to małe królestwo. Gospodarstwo więc kobiecie, składające się z prac drobnych, ma zarazem nader szeroki zakres; obejmuje ono rozmaite działy, których nie tylko wyczerpujący opis, ale nawet samo wyliczenie zajęłoby dużo miejsca, przechodząc zakres niniejszej pogawędki. Postaramy się więc tylko o wykazanie działalności kobiecej na polu gospodarstwa domowego w ubiegłych wiekach, zestawiając ją ze stanem obecnym.

W kronikach czytamy, iż w bardzo odległych czasach, bo w XIII i XIV wieku, stoły na dworach pa-

nów i książąt ugiwały się pod zastawą potraw mięsnych, ręką niewiast przygotowanych; do zastawy zaś tej przyprawę stanowiły olbrzymie kołaczce, miodem zaprawne pierogi, tłuczone i rozmaite przystawki, których nazwy dziś są najzupełniej obce najwybredniejszym nawet smakoszom. Że zaś wtedy nie było sklepów, a handel z odległymi krajami nie był tak rozwinięty, aby te przysmaki można sprowadzać, wyprodukować je musiała skrzętność kobieca z tego, czego dostarczył las, pole, woda i mało jeszcze wtedy zasobny ogród.

Nie tylko zaś stoły zastawić, ale trzeba je było i przyozdobić; ozdobą zaś i koniecznym do każdej uczyty dodatkami były cienkie ręczniki przędzone i tkane ręką pracowitych dziewcz i niewiast naszych.

I w tej gałęzi, począwszy od delikatnej zastawy czyli namitki, którą otaczały głowę niewiasty zamężne, aż do grubego lnianego lub wełnianego samodziału, w który przy gospodarstwie ubierali się mężowie, domownicy i czeladź cała, wszystko było dziełem pracowitych rąk niewieścich.

Z odrębnego zupełnie rozklasyfikowania naszego społeczeństwa wypływał i podział pracy. Zamki wielko-pańskie, szlacheckie dwory, drobno-szlacheckie zagrody i wieśniacze siedziby przedstawiają różnicę stanów. W każdym jednak kobieta była duszą domowego ogniska, a podtrzymując je pracą swą, baczyła pilnie, aby około tego ogniska zbierała się cała rodzina, a każdemu z jej członków było wygodnie, zaciszno i błogo.

Spojrząwszy więc w najodleglejszą przeszłość, zawsze i wszędzie widzimy kobietę krzątającą się około domu, a część gospodarczą, najmłodniejszą, najbardziej drobiazgową, najwięcej domagającą się cierpliwości i nieustannego czuwania, na barkach kobiecych spoczywała.

Ta piękna połowa rodu ludzkiego, sławiona w poezji i pieśni, owa istota, będąca natchnieniem poetów i artystów, obok piękności zewnętrznej, posiadać musiała zawsze niepospolite rodzime zalety umysłu, któreby jej zmuśną i monotonną pracę około domowego gospodarstwa ozlacały promieniem poezji i wdzięku.

Tym niezaprzeczonym wdziękiem odznaczać się od dawna musiały nasze kobiety, skoro zawsze z uznaniem dla białych głów wyrażają się myśliciele i poeci. Według zaś Kochanowskiego: „Na niej rząd wszystek, swego męża ona głowy korona.” Pominąwszy zaś cały szereg w każdym wieku autorów, sławiących rzadność i wdziek naszych niewiast, przytoczymy tylko zdanie Józefa Ign. Kraszewskiego: „Gdzieindziej niewiasta jest ozdobą życia, u nas podporą.”

Surowiecki w swoich opisach „Słowiańszczyzny przedchrześcijańskiej” wspomina o wielkiej pracowitości i gospodarności kobiet; we wszystkich też uroczystościach religijnych i rodzinnych figuruje przyrządzany ręką kobiecą kołacz, przy którego pieczeniu snuły pieśni, skracając sobie drobiazgową i zmuśną około niego robotę.

Bez zabiegliwości kobiecej licho i ubogo wyglądałaby rodzina, bo według przysłowia: „Co mąż wozem zwiezie do stodoły, to niegospodarna żona fartuchem wyniesie z komory.”

Przy licznych i drobiazgowych pracach niewieścigo gospodarstwa potrzebowano rąk niemało; dlatego trzymano liczną czeladź żeńską do grubych folwarcznych robót, oraz służbę do prac domowych.

(Dokończenie nastąpi.)